

JAKUB PAPUCZYS  
Uniwersytet Jagielloński

## Rozczarowanie, wstyd i trauma, czyli kulturowy odbiór Mistrzostw Świata w piłce nożnej Argentyna '78

Występ i wynik osiągnięty przez naszych piłkarzy na mundialu w 1978 roku w Argentynie wywołał wiele sprzecznych odczuć i opinii. Najpowszechniejszym było chyba ogromne rozczarowanie, zawiedzione nadzieje, spowodowane tym, że naszej drużynie nie udało się drugi raz z rzędu (po sukcesie osiągniętym cztery lata wcześniej) wejść do strefy medalowej. W ten sposób mistrzostwa te niby zostały powszechnie zapamiętane, ale wydaje się, że zwłaszcza współcześnie ze zbiorowej pamięci zostały one skutecznie wyparte. Rzadko się o nich pisze czy mówi, piłkarze nieczęsto je wspominają. Stanowią one wyrwę w afirmatywnej narracji o złotej dekadzie polskiej piłki nożnej (złoty medal na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium w 1972 roku; srebrny medal na Mistrzostwach Świata w RFN 1974 roku; srebrny medal na Igrzyskach Olimpijskich w Montrealu w 1976 roku; brązowy medal na Mistrzostwach Świata w Hiszpanii w 1982 roku). Są wyrwą, którą próbuje się raczej przysłonić niż nadmiernie eksponować. Przez długi czas, jak się jednak wydaje, mistrzostwa te stanowiły rodzaj ogólnonarodowej fobii, która była nałożeniem się na siebie wstydu za piłkarzy, rozczarowania ich postawą oraz poczucia dojmującej niemocy. Z tej mieszaniny różnych odczuć i afektów zaczął rodzić się stopniowo wstręt do państwowych, politycznych i społecznych czynników, które w rzeczywistości do tej „porażki” doprowadziły.

Próbę analizy tych różnych, często ze sobą sprzecznych, mechanizmów odbioru tego turnieju chciałbym zacząć od pewnego opisu, a właściwie wspomnienia:

Jacek Gmoch stał w wojskowej, ciemnozielonej kurtce i z całej siły uderzał głową w metalowe szafki w szatni na stadionie w Mendozie. Nie dbał o to, że okazuje słabość przed piłkarzami, w tej chwili nie dbał o nic. Był całkowicie pochłonięty metodycznym, równomiernym waleniem z całych sił głową w metal. Zawodnicy przyglądali się tej scenie z lodowatą obojętnością, jakby mieli przed sobą rozhisteryzowane i rozpieszczone dziecko [...]. Gmoch wiedział, że jest skończony. Prowadzona przez niego reprezentacja Polski właśnie przegrała w decydującym meczu z Brazylią 1:3. Po każdym uderzeniu echo odbijało się od ścian. Coś bełkotał pod nosem, ale tego potoku słów wypowiedzianych na przemian szeptem i krzykiem nikt nie był w stanie zrozumieć. Nikt też specjalnie nie chciał [...], wszak wszyscy liczyli na finał i reprezentacja miała wykupione miejsca

w hotelu aż do końca mistrzostw. Za chwilę będzie musiał odejść. W niesławie. Piłkarze też wiedzieli, że jest już po Gmochu. Po przenosinach do Buenos Aires zamknęli się w hotelowych pokojach i pili. Na finał nikt nawet nie poszedł, a bilety działacze sprzedali pod stadionem<sup>1</sup>.

Tragizm i apokaliptyczny nastrój, jakie wyłaniają się z tej sceny, chyba najlepiej oddają ogólną atmosferę, jaka zapanowała w kraju po ostatnim meczu naszej reprezentacji na tych mistrzostwach. Na mundial jechaliśmy z najmocniejszą personalnie ekipą w całych dziejach naszego piłkarstwa. Do „srebrnej jedenastki”, która zdobyła trzecie miejsce cztery lata wcześniej w RFN, dołączył wykluczony wtedy z mistrzostw z powodu kontuzji polski piłkarz wszechczasów — Włodzimierz Lubański — oraz już wówczas przejawiający ogromny talent i niewiarygodny potencjał — młody Zbigniew Boniek. Schedę po Kazimierzu Górskim przejął zaś Jacek Gmoch — jego asystent na niemieckich mistrzostwach oraz szef legendarnego już dziś banku informacji. Ciągłość została więc zachowana. Dodatkowo Gmochowi komunistyczne państwo zapewniło wszelkie warunki oraz materialne środki potrzebne do tego, żeby reprezentacja została przygotowana w sposób najlepszy z możliwych. Dlatego zapewne każdy śledzący tamte mistrzostwa Polak z goryczą, szokiem i niedowierzaniem kompulsywnie zadawał sobie to samo, co Gmoch i siedzący w szatni piłkarze, pytanie: co poszło nie tak? I choć w tym tekście nie uda mi się na nie odpowiedzieć (zresztą ta odpowiedź nie jest tu najważniejsza), to jednak przywołuję tę scenę, żeby uświadomić, jak wielką traumą była tamta sportowa klęska dla zbiorowej i jednostkowej świadomości Polaków. W dalszej analizie chciałbym spróbować zarysować szerszy kulturowy plan, w który klęska ta została uwikłana. Kontekst, który emocje z nią związane w odpowiedni sposób modelował, budując dla jej zbiorowego przeżywania konkretne polityczne i społeczne ramy.

## Kontekst pierwszy: nowoczesność i modernizacja

Lata 1974–1978 to okres, w którym miał miejsce złożony i paradoksalny proces następującej po sobie bardzo szybko mitologizacji oraz krytycznej, radykalnej demitologizacji obrazu naszej piłkarskiej „srebrnej jedenastki”. Z jednej strony sukces w RFN rozbudził nadzieje i aspiracje pogrążonego dotychczas w marazmie i nawiedzanego przez rozmaite kompleksy polskiego społeczeństwa, z drugiej obnażył to, że w gruncie rzeczy w rzeczywistości PRL aspiracje te nigdy nie mogłyby zostać trwale zaspokojone. Sensacyjnie dobry wynik piłkarzy wpisywał się idealnie w tworzenie iluzji gierkowskiego postępu i normalizacji pierwszej dekady lat 70., a jednocześnie stanowił pierwszą rysę mającą doprowadzić w końcu do rozbicia tej iluzji. Mówiąc krótko, spragnione sukcesów społeczeństwo ocze-

<sup>1</sup> P. Żelazny, *Dlaczego nie zostaliśmy mistrzami świata*, „Kopalnia. Sztuka Futbolu” 2014, nr 1, s. 14.

kiwało, że po zajęciu trzeciego miejsca na świecie piłkarska reprezentacja stanie się od razu światową potęgą, mimo tego, że występujący w przeciętnej lidze piłkarze byli nie tylko źle opłacani, ale na co dzień pozbawieni odpowiedniej, infrastrukturalnie rozwiniętej bazy treningowej. Najbardziej wymownie świadczy o tym przywoływana przez Andrzeja Strelaua sytuacja:

gdy wyszliśmy na pierwszy trening, to zawodnicy rzucili się na trawę i tarzali z taką radością... Bo to dywan był. Dywan! Ja sam się zresztą przewracałem. Na tym można grać. Dywan! Tak to było perfekcyjnie przygotowane<sup>2</sup>.

Liczono powszechnie, że pomimo tych braków (a być może specjalnie ich nie dostrzegając) nasi piłkarze będą potrafili stale rywalizować z profesjonalnymi zespołami zachodnich krajów jak równy z równym<sup>3</sup>. Gdy tak się nie stało, po przegranych eliminacjach do Mistrzostw Europy oraz „tylko” srebrnym medalu Igrzysk Olimpijskich w Montrealu w 1976 roku, na kadre posypała się powszechna fala krytyki, a winą za kolejne porażki obarczano postawę samych zawodników. Uważano, że sukces przewrócił im w głowach, a grę i patriotyczną walkę w narodowej reprezentacji przysłoniła motywowana obietnicą wielkich pieniędzy chęć wyjazdu do profesjonalnego zachodniego klubu.

Montreal w procesie ustanawiania tego skomplikowanego odbioru gry i postawy naszych reprezentantów po mistrzostwach w 1974 roku był cezurą w tym sensie, że po Igrzyskach współpracę z reprezentacją zakończył ojciec i symbol niedawnych sukcesów — trener Kazimierz Górski. Na jego miejsce zdecydowano się powołać wspomnianego Jacka Gmocha. Kulisy tej zmiany są niezwykle złożone, ale jeden aspekt jest tutaj szczególnie wart przywołania. Absolwent Politechniki Warszawskiej, inżynier Jacek Gmoch, był całkowitym i „skrajnym przeciwieństwem dobrotliwego Pana Kazia, który skład wyczytywał z serwetki wyciągniętej z wewnętrznej kieszeni marynarki, większość decyzji podejmował na czuja”, a swoją filozofię futbolu w gruncie rzeczy sprowadzał do tezy, że „mecz można wygrać, przegrać albo zremisować”<sup>4</sup>. Gmoch piłkę nożną rozkładał na czynniki pierwsze, wprowadzał innowacyjne ćwiczenia, przez wiele godzin wykladał piłkarzom opracowaną przez siebie taktykę, wymyślił wspomniany wcześniej „bank informacji”, zbierający szczegółowe dane o przyszłych przeciwnikach, a co najważniejsze swoją analizę i sposób przygotowań podparł bogatym zapleczem technologicznym z użyciem raczkujących dopiero w naszym kraju komputerów. Jak określił to jeden z ówczesnych reprezentantów, wskazując jednocześnie drugą, bardziej ambiwalentną stronę takiego stylu prowadzenia reprezentacji:

<sup>2</sup> K. Aplecionek, *Mundial '74. Dogrywka*, Warszawa 2012, s. 49.

<sup>3</sup> Szerzej pisałem o tym w artykule: *Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w RFN w 1974 roku a polska „nowoczesność” dekady Gierka*, „Didaskalia” 2016, nr 132, s. 48–57.

<sup>4</sup> P. Żelazny, *op. cit.*, s. 29.

Jacek wyznawał zasadę, że każdemu zawodnikowi można określić jego rolę na boisku. To do polskiej mentalności nie pasowało. Polacy mają coś w sobie z tej tak zwanej Somosierry, fantazji. Wtedy, gdy nikt na nich nie liczy, potrafią wykrzesać z siebie coś ekstra. Trener Górski wyznawał zasadę prostych zadań. Jacek mówił: „Musimy mieć rekonesans, musimy wiedzieć, jak gra przeciwnik, i pod tego przeciwnika układać taktykę”, a Górski na to: „Dlaczego mamy pod przeciwnika układać taktykę? Powinniśmy mieć własną, żeby przeciwnika zaskoczyć”<sup>5</sup>.

Dlatego aby tę sprzeczność ukryć w prasie i materiałach reportażowych opisujących przygotowania naszej kadry, to właśnie ten naukowy i technologiczny sposób pracy wysuwano na pierwszy plan. Podkreślano nieustannie również jego nowoczesność i profesjonalny charakter. Czyniono to chociażby przez zwracanie uwagi na takie szczegóły przygotowań jak to, że testy motoryczne czy wydolnościowe naszych piłkarzy nadzorowane są nie tylko przez sztab lekarzy, fizjologów i dietetyków, ale że wyniki przez nich uzyskane natychmiast są przetwarzane i opracowywane przez obsługujących całe informatyczne zaplecze inżynierów, z użyciem raczkujących dopiero komputerów. Zaznaczano też, że oprócz fizycznej strony przygotowań w kadrze Gmocha w równym stopniu myśli się o psychologii zawodników, a to uznawano wtedy za przejaw szkoleniowej awangardy<sup>6</sup>. Tego rodzaju przedstawienie naszej drużyny, przy spodziewanym sukcesie na mistrzostwach, miało przykryć wszelkie zapóźnienia, braki i niedostatki nie tylko sportowej rzeczywistości, jakie coraz silniej dawały o sobie znać pod koniec lat 70.

Nowoczesność i kompleksowość przygotowań nabierały szczególnego znaczenia w kontekście piłki nożnej, która po osiągniętych w ostatnim czterolecu sukcesach urosła do rangi naszego sportu narodowego. Było to ważne zwłaszcza w atmosferze wyżej wspomnianych coraz głośniejszych narzekania, że za wynikiem osiągniętym na mistrzostwach w RFN nie poszły poszły żadne gruntowne i systemowe zmiany w naszym sporcie. Wciąż mieliśmy rozlatujące się stadiony, brudne szatnie, przeciętną ligę oraz przestarzały model szkolenia, oparty na fikcyjnym wprawdzie, ale mimo wszystko blokującym rozwój najlepszych piłkarzy, amatorstwie.

W tym okresie polska piłka nożna, jeśli chodzi o poziom szkolenia, czy organizacji, była naprawdę w siermiężnym stanie. Funkcjonowaliśmy w określonym, scentralizowanym systemie politycznym i społeczno-gospodarczym. Sport nie był wyizolowaną dziedziną<sup>7</sup>.

Zatrudnienie więc Gmocha i wdrożenie zaproponowanej przez niego wizji futbolu miało symbolicznie pokazać, że coś w tej materii uległo wreszcie zmianie, że polska droga do nowoczesności nie jest wcale gorsza od tej kapitalistycznej, a nasza reprezentacja działająca w socjalistycznym systemie nie ustępuje pod żadnym względem „profesjonalnym” reprezentacjom krajów zachodnich. Tego rodzaju symboliczna kompensacja była jednak ryzykowna o tyle, że w przypad-

<sup>5</sup> K. Aplecionek, *op. cit.*, s. 32–33.

<sup>6</sup> Zob. Polska Kronika Filmowa, *Przed wielkim finałem*, 20.05.1978, PKF 20B/78.

<sup>7</sup> K. Aplecionek, *op. cit.*, s. 45.

ku porażki piłkarzy klęskę ponosił również PRL-owski model modernizacji, a jego specyficzna polska jakość zostałaaby zdemaskowana jako po prostu gorsza i permanentnie odbiegająca od cywilizacyjnej normalności. Wydaje się jednak, że wobec załamania się nastrojów społecznych w drugiej dekadzie lat 70., spowodowanych przede wszystkim (ale nie tylko) postępującym kryzysem gospodarczym, będącym m.in. konsekwencją zaciągniętych masowo pięć lat wcześniej kredytów, władza nie miała większego wyboru.

Ekipa Gierka zdawała sobie sprawę z propagandowej skuteczności sportu. Przypuszczano, że już chyba tylko sukces piłkarzy w Argentynie jest w stanie wygenerować na tyle silny ładunek emocjonalny, aby nadzieje na „budowę drugiej Polski” mogły zostać rozbudzone na nowo. Sukces piłkarzy być może jeszcze raz skutecznie pozwoliłby wmówić społeczeństwu, że obecne trudności są przejściowe, a rządząca ekipa odzyskałaby traconą coraz bardziej społeczną legitymizację. Stąd zatrudnienie trenera, który oprócz tego, że kojarzył się z nowoczesnością, był również jednoznacznie utożsamiany z partią i budowanym przez nią ustrojem. Szerokim echem odbiła się chociażby jego głośna wypowiedź, że zwycięstwo nad Danią 1 maja 1977 roku dedykuje socjalistycznemu państwu i klasie robotniczej. Z tego także względu na przygotowania reprezentacji nie szczędzono ani sił, ani materialnych środków. W końcu był to trener, który potrafił zawiedzione na innych polach nadzieje ponownie przekierować na piłkarską reprezentację, przywracając w nią wiarę po okresie zwątpienia. To właśnie Gmoch powiedział jeszcze w trakcie eliminacji jasno i wprost, że jedziemy do Argentyny tylko i wyłącznie po złoty medal. Mistrzostwa te więc wygenerowały ogromny afektywny ładunek piętrzących się oczekiwań, nadziei, dążeń, społecznych kompensacji i narodowych interesów na długo przed ich rozpoczęciem.

## Kontekst drugi: przestrzelony karny

Sam argentyński mundial teoretycznie zaczął się dla naszej drużyny dobrze. Pierwszą rundę zakończyliśmy na pierwszym miejscu w grupie, odnosząc dwa zwycięstwa i jeden remis. Wygrać nie udało nam się tylko w meczu otwarcia z broniącą tytułu drużyną RFN. Pomimo, jak powszechnie narzekano w kraju, zachowawczej gry, nieprzegranie meczu z obecnym wciąż mistrzem świata było przyjmowane z umiarkowanym optymizmem. Tym bardziej, że — jak wskazywali fachowcy — Polska była w tym meczu drużyną lepszą. Falę powszechnej krytyki wywołało jednak już następne spotkanie. Polska po niezwykle przeciętnym meczu skromnie wygrała z debiutującą na imprezie tej rangi Tunezją 1:0. Wygraliśmy w dodatku szczęśliwie, zdobywając bramkę w końcówce meczu, po szkolnym błędzie naszych przeciwników. Drużyna w oczach kibiców zrehabilitowała się nieco zwycięstwem nad Meksykiem 3:1. Tym bardziej, że dwa gole

w tym meczu strzelił Zbigniew Boniek. Młody zawodnik miał w opinii Gmocha stanowić łącznik pomiędzy nową, budowaną przez niego kadrą a starymi mistrzami. Swoją młodością, dynamiką, odwagą miał idealnie wspomagać ich doświadczenie i nabyte umiejętności. Tę wizję doskonałej pokoleniowej harmonii wzmacniał dodatkowo fakt, że trzeciego gola w tym meczu strzelił kapitan naszej reprezentacji, symbol sukcesu sprzed czterech lat, Kazimierz Deyna. Plan Gmocha w teorii przynosił więc rezultaty. I pomimo że styl tego zwycięstwa — jak zauważały relacje prasowe — pozostawiał wiele do życzenia (wypada również dodać, że Meksyk okazał się najsłabszą drużyną tych mistrzostw, przegrywając wszystkie mecze i strzelając zaledwie dwie bramki przy dziesięciu golach straconych), polskie społeczeństwo z nadzieją oczekiwało na drugą rundę turnieju. Fazę, która miała zadecydować o awansie do strefy medalowej, i którą rozpoczęliśmy meczem z gospodarzami turnieju — Argentyną. Spotkania, które wobec ambiwalentnej formy prezentowanej przez naszych reprezentantów w poprzednich meczach miało być pierwszym poważnym i — jak się później okazało — ostatecznym sprawdzianem naszej drużyny na tych mistrzostwach. Tym bardziej, że przy zasadach, że tylko dwie z czterech drużyn wchodzi do bezpośredniej gry o medale, a także faktu, że grupa ta składała się z czterech niezwykle mocnych drużyn<sup>8</sup>, pierwszy mecz, i to z faworytem całego turnieju, miał się okazać decydujący dla późniejszego układu miejsc.

Piszę o tym tak szczegółowo, żeby zwrócić uwagę na to, w jak szczególnie sposób ułożyła się dla nas dramaturgia tamtych mistrzostw. Poprawny co najwyżej początek, choć dał nam awans, nie odkrył zbyt wiele, jeśli chodzi o ocenę możliwości i realnego potencjału naszej drużyny. Druga, decydująca faza turnieju zaczynała się zaś od meczu z przeciwnikiem najtrudniejszym, gospodarzem i największym faworytem całych mistrzostw. Mecz ten był więc też idealnym momentem na ewentualnie przełamanie naszej drużyny, potwierdzenie swojej wartości. Zwycięstwo nad Argentyńczykami nie tylko praktycznie otwierało nam drogę do medalu, ale zbudowało naszą drużynę mentalnie i psychicznie, rozwiązało wcześniejsze niepokoje i wątpliwości. Krótko mówiąc, ten mecz miał dać odpowiedź na pytanie, czy pragmatyzm i racjonalizm Jacka Gmocha okaże się lepszy od polotu, fantazji, odwagi i intuicji Kazimierza Górskiego. Z tych wszystkich względów mecz ten stanowił dla naszej reprezentacji moment kulminacyjny tamtych mistrzostw. Tym bardziej, że Jacek Gmoch wziął na siebie przed meczem ciężar dodatkowej odpowiedzialności, podejmując nietypowe — a jak sam wyjaśniał, wynikające właśnie ze szczegółowej racjonalnej analizy — decyzje personalne. Odesłał bowiem na trybuny doświadczonego stopera Jerzego Gorgonia, a na jego miejsce oddelegował nominalnego pomocnika Henryka Kasperczyka. Jak tłumaczył sam Gmoch, jego zdaniem wysoki i potężny Gorgoń nie byłby

<sup>8</sup> Oprócz Polski i Argentyny znalazły się w niej: rewelacja tamtego turnieju, Peru, oraz zawsze silna Brazylia.

w stanie upilnować najgroźniejszego napastnika Argentyńczyków — niewysokiego, zwinnego Mario Kempesa (który z racji swojego niewielkiego wzrostu bardzo rzadko strzelał głową). Problem polegał na tym, że owszem Kasperczak był dużo bardziej zwrotny i dynamiczny, jednak nigdy wcześniej nie grał na tej pozycji. Natomiast Gmoch po dokładnych analizach wyliczył, że jego zdolności motoryczne są ważniejsze niż brak doświadczenia. Nowoczesny technokratyzm miał się zetrzeć w tym meczu z typowo polską intuicją, walecznością, poświęceniem. Wyprzedzając nieco wypadki, trzeba powiedzieć, że Polska ostatecznie ten mecz przegrała 0:2, a dwa gole strzelił, w tym jednego głową, wspomniany właśnie Kempes. Ale jego przebieg mógł się potoczyć zupełnie inaczej, zwłaszcza biorąc pod uwagę wydarzenia z jego 38 minuty.

Przy stanie 1:0 dla Argentyńczyków Grzegorz Lato strzela na ich bramkę głową, a piłkę w ostatniej chwili wybija ręką Mario Kempes. Sędzia bez wahania dyktuje dla nas rzut karny, do strzelenia którego podchodzi kapitan naszej reprezentacji — Kazimierz Deyna. Deyna karnego jednak nie strzela, jego uderzenie broni bowiem argentyński bramkarz Matildo Fillol.

Deyna strzelił lekko i technicznie, praktycznie w środek bramki, próbując zmylić bramkarza i psychologicznie sprowokować go do tego, aby rzucił się w przeciwną stronę na ułamek sekundy przed kopnięciem piłki. Ostatecznie przegraliśmy to spotkanie 0:2, a ten przestrzelony karny niemal od razu urósł w wyobraźni rodaków do rangi odpowiedzialnego za tą porażkę antymitu. Sądono, że gdyby Deyna trafił, to prawdopodobnie z Argentyną udałoby się nam co najmniej nie przegrać i być może awansować, jeśli nie do wielkiego finału, to na pewno do strefy medalowej, powtarzając sukces sprzed czterech lat.

Dlaczego Deyna nie strzelił i dlaczego to właśnie on do jedenastki podszedł, analizowano potem wielokrotnie, prezentując coraz bardziej fantastyczne historie. Jedna z nich mówiła, że niepotrzebnie urządzono przed rozpoczęciem tego meczu naszemu zawodnikowi jubileusz z okazji setnego występu w narodowej reprezentacji, gdyż zwiększyło to ciężar na nim presję. Kolejna skupiała się na napiętej relacji pomiędzy odchodzącym już starym mistrzem, a pragnącym zająć jego miejsce młodym Bońkiem, który rzekomo miał powiedzieć Deynie: „jak się boisz, to ja strzelę”, co miało dodatkowo zdenerwować i zdekoncentrować kapitana (warto zaznaczyć, że ta wersja dekonstruowała również wcześniejszą narrację o harmonijnym i naturalnym współistnieniu w reprezentacji „starych mistrzów” z młodymi, utalentowanymi zawodnikami, którzy w perspektywie czasu mieli naturalnie zająć ich miejsce). W końcu najbardziej nieprawdopodobna, spiskowa teoria mówiła, że Deyna tego karnego po prostu sprzedał za wielkie pieniądze finansowanej przez wojskową juntę Argentynie, która chciała zdobyć mistrzostwo za wszelką cenę (choć rzecz jasna była to teoria absurdalna, jednak i ona w pewnym sensie spowodowana była wcześniej wspomnianymi nastrojami oraz wykreowanym w społeczeństwie obrazem piłkarzy — tego, że to nie gra w narodowych barwach sama w sobie jest dla nich najważniejsza, a pieniądze, jakie mogą dzięki

niej zarobić). W piętrzącym się splocie coraz gorętszych i fanatycznych dyskusji ginęły nieliczne głosy, że nie ma co gdybać, a Deyna nie strzelił, bo w sporcie to się najzwyczajniej zdarza.

Koniec końców przestrzelony karny stał się chyba najbardziej traumatycznym dla nas momentem tamtych mistrzostw. Gorzko pamiętanym jeszcze długo po ich zakończeniu, choć też stopniowo wypieranym i funkcjonującym coraz bardziej w społecznej nieświadomości. Świadczy o tym chociażby krótka scena ze zrealizowanego w 1981 roku serialu *Jan Serce* w reżyserii Radosława Piwowarskiego. Chciałbym przywołać krótki dialog z trzeciego odcinka między tytułowym bohaterem a jego najlepszym przyjacielem, inżynierem Piotrem:

Piotr: To proste. Ta dziewczyna nie istnieje... Ona istnieje tylko w twojej jaźni.

Jan: W czym?

Piotr: W twojej jaźni. W głębi naszych mózgów są sytuacje zbudowane z kompleksów, z marzeń, z wspomnień. Czasami jest to tak silne, że wydaje się być rzeczywistością.

Jan: Piotruś, ja wypilem tylko ćwiartkę.

Piotr: Eee, nie rozumiesz. Popatrz na mnie. Ja jestem niby zwykły inżynier, nie? A coraz częściej łapię się na tym, że jestem Deyną. I co noc strzelam karnego Argentyńczykom. Na początku była zawsze bramka. A teraz tak się utożsamilem z Kazikiem, że jak strzelam, to ten ich bramkarz broni<sup>9</sup>.

To, że karny Deyny został wykorzystany jako ilustracja procesu działania zbiorowej podświadomości, która przechowuje wszystkie nasze lęki, słabości i kompleksy, uważam za nieprzypadkowe i znaczące, a fakt, że tego rodzaju dialog pojawił się w serialu zrealizowanym trzy lata po tamtych mistrzostwach, jasno obrazuje, jak wielkie nadzieje z nimi wiązano i jak głęboko nas one rozczarowały. Potwierdza to też zmiana fantazji Piotra — wiara w poprawę losu i zmianę niekorzystnej dla nas rzeczywistości stopniowo została wyparta przez coraz bardziej realistyczne, cykliczne odtwarzanie dotkliwej społecznej porażki tamtych czasów, którą *pars pro toto* ucieleśniała nietrafiona przez Deynę jedenastka. Metafora zbudowana w tej scenie sugestywnie odtwarzała zmianę społecznych nastrojów następującą od początku do końca lat 70. — od nadziei związanych z obietnicami i radykalną poprawą poziomowi codziennego życia (z niespotykanym do tej pory w Polsce Ludowej konsumpcyjnym otwarciem) do postępującego kryzysu oraz zdemaskowaniem iluzji tych obietnic.

Co ciekawe, nikt do tej pory nie zwrócił uwagi na to, że w Argentynie Deyna strzelił karnego dokładnie tak samo jak cztery lata wcześniej w równie ważnym meczu z Jugosławią, zapewne dlatego, że wtedy udało mu się zdobyć bramkę i Polska ostatecznie mecz wygrała. Skłoniło mnie to do przeanalizowania, w jaki sposób Deyna w ogóle strzelał karne, a moje obserwacje dowodzą, że piłkarz przeważnie w taki sam sposób egzekwował jedenastki. Kolejnym krokiem było przyjrzenie się następnym kilkanastu nagraniom — tym razem rejestrującym,

<sup>9</sup> *Jan Serce*, reż. R. Piwowarski, Polska 1981, odc. 3, *Mgielka*.



w jaki sposób argentyński bramkarz zwykle bronił karne<sup>10</sup>. Znow wniosek jest bardzo prosty, ale chyba ważny — Fillol prawie zawsze stał w bramce do końca, czekał na napastnika, a więc nie można mu było strzelać w ten sposób, w jaki zrobił to Deyna — próbując zmylić bramkarza jeszcze przed uderzeniem piłki. Więc rzeczywiście Deyna po prostu nie powinien strzelać karnego temu bramkarzowi, o czym trener Gmoch powinien wówczas wiedzieć. Był wszak, jak wspominałem wcześniej, twórcą banku informacji — przed samymi mistrzostwami rozbudowanego personalnie o dwóch trenerów obserwatorów. To właśnie ten bank informacji najsilniej łączony był z nowoczesną koncepcją futbolu proponowaną przez Gmocha. Nie trzeba więc żadnych mitów i teorii — to nie tajemniczy los sprzyścił się przeciw naszej reprezentacji. Zawiodła ich świetnie działająca w planach i projektach, ale całkowicie niewytrzymująca zderzenia z rzeczywistością, zwłaszcza pod koniec lat 70., gierkowska modernizacja. Dobrze spuentował to dziennikarz sportowy Stefan Szczepłak: „Zaczęło się naukowo, a skończyło jak na podwórku”<sup>11</sup>.

Całą sytuację można podsumować jeszcze nieco inaczej. Gmocha, jak mówiłem wcześniej, wybrano na trenera reprezentacji ze względu na nowoczesny i naukowy sposób pracy, co władzy było wtedy bardzo na rękę. Stąd tytuł magistra inżyniera używany był przy nazwisku trenera przy każdej niemal okazji. Co symptomatyczne, zapominano dodawać, że magisterium pisał na temat *Perspektywicznego rozwiązania komunikacji miejskiej na skrzyżowaniu ulic Marchlewskiego i Świerczewskiego w Warszawie*<sup>12</sup>.

## Kontekst trzeci: od wstydu do wstrętu

Rok 1978 w Polsce to — jak twierdzi Marcin Zaremba<sup>13</sup>, a potwierdza w swojej książce dotyczącej antropologii niedoboru Małgorzata Mazurek<sup>14</sup> — moment kulminacyjny jeśli chodzi o skutki kryzysu ekonomicznego będącego efektem gospodarczych działań wdrożonych przez Edwarda Gierka, zwłaszcza zaciągania przez niego licznych kredytów i przeprowadzania skokowej, a nie systemowej modernizacji. To wtedy konsekwencje polityki Gierka odczuwane przede wszyst-

<sup>10</sup> Kompilacje najlepszych obron Ubalda Matilda Fillola, w tym także obronionych przez niego rzutów karnych, można znaleźć na licznych filmach znajdujących się obecnie w serwisie YouTube, przykładowo: <https://www.youtube.com/watch?v=VnsJbyfBr14>, <https://www.youtube.com/watch?v=607F18vf71Y>, [https://www.youtube.com/watch?v=b\\_AVm5DhZ7U](https://www.youtube.com/watch?v=b_AVm5DhZ7U) (dostęp: 10 października 2016).

<sup>11</sup> S. Szczepłak, *Moja historia futbolu*, t. 2, Polska, Warszawa 2016, s. 227.

<sup>12</sup> P. Żelazny, *op. cit.*, s. 15.

<sup>13</sup> A. Brzeziecki w rozmowie z M. Zarembą, *Liberal w kontekście*, [w:] A. Brzeziecki, *Lekcje historii. PRL w rozmowach*, Warszawa 2009, s. 178–211.

<sup>14</sup> M. Mazurek, *Antropologia niedoboru w NRD i PRL 1971–1989*, Wrocław 2010.

kim przez zwykłych obywateli na najbardziej prozaicznym poziomie — braki, niedobory, przejawiające się na każdym kroku objawy cywilizacyjnego zacofania — stały się najbardziej dotkliwe.

Jak w ten kontekst wpisywał się przedstawiany tutaj turniej? Chciałbym przywołać najpierw Polską Kronikę Filmową, prezentującą obraz tamtych mistrzostw. Po pierwsze zaskakujące jest to, że wyszła ona dopiero 9 sierpnia, czyli prawie dwa miesiące po zakończeniu imprezy, pomimo tego, że — jak wspomina jeden z jej realizatorów — pierwotny termin był ustalony na maksymalnie dwa tygodnie po ostatnim meczu. Można oczywiście domyślać się, że władza niekoniecznie chciała przypominać tak nieudaną, również dla niej, imprezę. Powstaje jednak pytanie, czemu w ogóle zdecydowała się wyemitować kronikę? Być może sądzono, że gdy futbolowa gorączka nieco zelżeje, nikt już nie będzie tak bardzo przeżywać rozczarowania, jakim wobec oczekiwań była klęska naszej reprezentacji. Jednak ogólnie posępny i melancholijny nastrój tej Kroniki świadczył o czymś wręcz przeciwnym. Co więcej, znalazło się w niej niespodziewanie wiele krytycznych aluzji do sytuacji panującej w naszym kraju. Przytoczę tylko dwie z nich, jak się wydaje, najbardziej wyraziste.

Ostatni kadr Kroniki to obraz ulic po skończonym, kilkudniowym karnawale fetującym zwycięstwo gospodarzy — z licznymi porzuconymi przedmiotami, które wcześniej pełniły rolę rekwizytów lub scenografii radosnej zabawy. Ujęciu temu towarzyszy następująca narracja:

Już po mundialu. Po szale radości nagła cisza, spokój, jakaś pustka i smutek. To, co ekscytowało miliony, przeminęło bezpowrotnie. Przejście do rzeczywistości jest jakieś nierealne. A może to po prostu smutek przedmiotów martwych, które żyły w czasie mundialu i których dziś już nikt nie potrzebuje<sup>15</sup>.

Jeszcze bardziej wprost tego rodzaju krytykę dało się wyczuć parę minut wcześniej. Wyraża ją komentarz towarzyszący ujęciu ukazującemu rzucane z okien w trakcie świętowania rozmaite kartki i papiery mające stworzyć strumień śnieżnobiałego konfetti:

Gdyby tak skutecznie walczone z biurokracją wszędzie tam, gdzie papierków jest za dużo, to ileż spraw byłoby prostszych, niż faktycznie jest. Ale czy trzeba mundialu, aby wydać walkę zbędnym papierom zalegającym biurka urzędów i instytucji?<sup>16</sup>

Nasuwa się więc pytanie, dlaczego władze i cenzura w ogóle Kronikę w takim kształcie puściły. Przecież brak papieru toaletowego, będącego symbolem i bardzo dotkliwym znakiem krajowego niedoboru, czy coraz bardziej rozrastająca się i uciążliwa biurokracja, panująca w każdym, najmniejszym nawet urzędzie, nie mogły pozostawić wątpliwości, że nie o Argentynie się tutaj mówi. Jak wspomina ówczesny redaktor naczelny Polskiej Kroniki Filmowej, Marian

<sup>15</sup> Polska Kronika Filmowa, *Mundial '78*, 9.08.1978, PKF 32AB/78.

<sup>16</sup> *Ibidem*.

Chrzanowski, zarówno montaż poszczególnych ujęć, jak i czytana przez lektora narracja były robione i dogrywane tuż przed jej emisją<sup>17</sup>. Biorąc to pod uwagę, można chyba postawić hipotezę, że faktycznie obraz tego mundialu na tyle mocno zakorzenił się w naszej pamięci i był tak intensywnym wyrazem nastrojów społecznych, że władza musiała się na taki kształt Kroniki zgodzić, by wszelkie napięcia skanalizować w wydarzeniu już mimo wszystko minionym, po to, by nie wybuchły one w przyszłości. Jeśli taka jest prawda, to — jak pokazał fragment serialu *Jan Serce* — były to próby mocno chybione.

Prawdopodobnie jeszcze lepiej pokazuje to esej Andrzeja Gassa z początku 1979 roku. Z czasowego dystansu podsumowywał on efekty pracy Jacka Gmocha, wprost już wskazując na korelację pomiędzy stylem prowadzenia przez niego reprezentacji a ówczesną rzeczywistością społeczną:

To, co o teoretycznych założeniach Gmocha jako trenera napisał K.[Krzysztof — J.P.] Mętrak, można odnieść do kierowania krajem w tamtych latach: „autodemaskacja pokrywana buńczucznym frazesem”. Świadczą o tym też ulubione słowa-wytrychy, którymi posługiwał się Gmoch, takie jak „optymalizacja” czy „motywacje”. Prawdopodobnie Jacek Gmoch postanowił pokryć brak umiejętności trenerskich technicystycznym bluffem. Rzekome „unaukowanie” treningu, taktyki miało prawdopodobnie zdobyć mu autorytet u piłkarzy i zaufanie społeczeństwa<sup>18</sup>.

Rządzącym miało natomiast przywrócić drastycznie osłabioną obywatelską legitymizację — choć to już moje dopowiedzenie.

Wracając jeszcze na koniec do Marcina Zaremby, należy podkreślić, że uważa on, że energia, jaką społeczeństwo straciło na pokonywanie piętrzących się barier w codziennej egzystencji pod koniec lat 70., prowadziła do powszechnej apatii, bierności i zniechęcenia. Choć coraz lepiej zdawano sobie sprawę z tego, jak jest źle, brakowało społecznej energii, żeby coś z tym zrobić. Stracono też już nadzieję, że jakiegokolwiek zmiany są w stanie przynieść poprawę obowiązującej rzeczywistości. Zdaniem historyka pierwszy, nieśmiały impuls do wyrwania się z tego stanu rzeczy dała pielgrzymka do Polski Jana Pawła II w 1979 roku, która w opinii Zaremby stanowiła preludium do strajków sierpniowych i powstania „Solidarności”.

Chciałbym jednak na koniec zadać pytanie, czy argentyński mundial nie był w tym względzie bodźcem wprawdzie negatywnym, odwróconym, ale wcześniejszym? Czy doznana wtedy porażka i rozczarowanie paradoksalnie nie doprowadziły do przelania czary goryczy, a wstręt do komunistycznej rzeczywistości nie nabrał takiej siły, że skłonił Polaków do coraz śmielszego i bardziej immanentnego — choć pozbawionego jeszcze wyraźnej, zbiorowej formy — wyrażania swojej krytyki oraz niezgody na tak ustanowioną rzeczywistość? Chyba warto te kwestie tutaj postawić, choć nie jestem pewien, czy da się na nie jednoznacznie

<sup>17</sup> M. Chrzanowski, *Kronikarz PRL: 12. Mundial 78*, <http://www.kronikarzprl.com.pl/spis-tre%C5%9Bci/12-mundial-78/> (dostęp: 10 października 2016).

<sup>18</sup> Cyt. za A. Jucewicz, *Wielcy selekcjonerzy*, Warszawa 2012, s. 148.

odpowiedzieć i w absolutny sposób je udowodnić. Jednak, jak starałem się mocno skrótowo i z konieczności selektywnie pokazać, mundial w Argentynie w bardzo precyzyjny i czuły sposób odzwierciedlał nastroje panujące w kraju i chyba momentami inicjował działania, które pomimo że na pierwszy rzut oka dotyczyły piłki nożnej, znacznie poza jej przestrzeń wykraczały.